

146807

II

Z WYCIECZKI

NA GÓRNY SZŁĄSK

NAPISAŁ

Wsiądz z Krakowa.



KRAKÓW.

DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,

pod zarządem Jana Gadowskiego.

1889.

1764 | 62

146807
II

Nakładem redakcyi „Przeglądu powszechnego“.

V. Wallis
Śmytchłomice Romne 4

30. 1. 62.

5, - n

/ 231



Pociąg rusza ze Szczakowy w kierunku Opola, Wrocławia, żegnamy austriackie barwy i mundury, spoglądamy z pod oka na rosyjskie, nie gniewając się zbyt, że bliższej z nimi tym razem nie potrzebujemy zawierać znajomości i dalej w kraj pocztowych Górno-Szlązaków. Znamy ich już nieco z Krakowa, gdy na większe kościelne uroczystości: na św. Stanisława, na Pocieszenie Matki Bożej lub na kalwaryjskie odpusty, ciągną ich tu całe tłumy, zwiedzają nabożnie kościoły, oblęgają konfesjonały; teraz w własnym ich kraju chcielibyśmy się bliżej przypatrzeć tym naszym pobratymcom, o których pracy, pobożności, przywiązaniu do rodzinnego języka i swojskich zwyczajów tyle się już słyszało. Mój towarzysz, który nieraz już, jak mówią tutaj „smykał się“ po Górnym Szląsku, nie ma dość słów na pochwały dla szląskich krajów i obyczajów. „Zobaczycie sami! zaręcza, gdy z pewnem niedowierzaniem głową ruszamy. — „Ha! zobaczymy!“

Inny to świat: fabryka koło fabryki, komin koło komina; na niebie zachmurzyło się, ale nie wiedzieć czy słońce ukryło się za chmury, czy za dym fabryczny. Z po za tego dymu wygląda raz po raz i strzela w niebiosą wspaniała wieża gotyckiego kościoła; jakby widoma wskazówka, że lud tutejszy przy ciężkiej pracy nie zapomina o wyższych potrzebach duszy. Gdzie spojrzysz, wypisane niby olbrzymiemi literami z wież kościelnych i fabrycznych kominów: „Módl się i pracuj“.

Już w Krakowie lub Kalwarii trudno się nie zbudować, patrząc na tłumy Szlązaków, tak pobożnie się modlące, które w ści-

słom słowa tego znaczeniu „zdobywają sobie królestwo niebieskie“; lecz tu dopiero na miejscu powziąć można właściwe wyobrażenie, jak głębokie korzenie wiara w sercach tego ludu zapuściła i jak błogie wydaje owoce. Przejeżdżamy koło Mysłowic; zdaleka witają nas wieże wielkiego gotyckiego kościoła; niedaleko od tego kościoła buduje się drugi, również gotycki, również ze składek ludu powstający. W Zaborzu zupełnie nowy kościół, w Świentochłowicach zwożą materiał na budowę kościoła; w obok leżącej Królewskiej Hucie stoją dwie świątynie Pańskie; w Bytomiu wstrzymać się nie można od podziwu zwiedzając również starożytną świątynię Panny Maryi, jak w nowszych czasach zbudowaną „Świętej Trójcy“. Styl gotycki, wszędzie najczystszy; najdrobniejsze szczegóły wykończone starannie; czystość i porządek w kościołach wzorowy. Skąd się wzięły, skąd się biorą fundusze na te monumentalne budowy, na posagi je zdobiące? wraca wciąż na usta to samo pytanie i wciąż słyszymy tę samą odpowiedź: Z ofiarności ludu, górników ciężko pracujących. Niech zobaczą oni tylko, że „księżoszek“ o ozdobę domu Bożego się stara, a z pewnością grosza nie poszczędną; z własnej chęci, bez wielkich próśb i nawoływań złożą w krótkim czasie, ile tylko potrzeba. Dadzą na kościół, a i „księżoszkowi“ takiemu bieda nie dokuczy. Tak np. w Gliwicach, jak donosi korespondent *Gazety Piekarskiej* z 10 sierpnia b. r. „aby proboszczowi zrobić niespodziankę, gdy wróci z wód, odrestaurowano mu probostwo“.

W ten sam sposób z gorliwości proboszcza, z ofiarności parafian wyrósł z ziemi prześliczny, w czystym, jak w ogóle tutaj, gotyckim stylu wystawiony przed nie wielu latami, kościół w Lipinach, dokąd wyzyskując szeroką po Szląsku i po za jego granicami znaną gościnność zasłużonego proboszcza ks. Michalskiego, zajechaliśmy na dni parę, by stąd sobie urządzić szereg wycieczek w okolicę, by przypatrzeć się wielkiemu odpustowi, jaki miał tu się odbyć w niedzielę poprzedzającą uroczystość św. Augustyna. Kościół mogący wygodnie pomieścić do 5.000 ludu zawdzięcza swe istnienie dzisiejszemu proboszczowi; skończony on już dawno, ale proboszcz ciągle go jeszcze upiększa, nowe figury sprowadza, w nowe aparaty zaopatruje zakrystyą. Aparaty to: ornaty, dalmatyki, kielichy, monstrancye, cała kościelna bielizna, mszały nawet i am-

pulki prawdziwie królewskie; złota i srebra, aksamitu i złotogłowa tu nie żałowano. Posadzka marmurowa lśni się jak w sali balowej; prawda, że w każdą niedzielę i święto myją ją najstaranniej zaraz po nabożeństwie. Biada! gdyby jaki pyłek został na posadzce, przyczepił się do dywanu, wślizgnął się na filar; baczne oko proboszcza dostrzegłoby go z pewnością, a służba kościelna nie prędko ochłonęłaby z przestachu, jakim nabawiłoby ją to niesłychane w dziejach kościoła lipińskiego odkrycie.

W sobotę od godziny czwartej po południu zasiadło sześciu czy siedmiu księży do konfesyonałów. Bardzo praktycznie konfesyonały ustawione tu są w osobnej, obszernej kaplicy, dwoma tylko drzwiami z kościołem połączonej, tak, że w razie potrzeby mogą penitenci i w czasie nabożeństwa i w czasie kazania do spowiedzi przystępować. W kaplicy tej wszystko do szczerzej skruchy za grzechy pobudza: w ołtarzu Matka Bolesna, zdawałoby się za pokutujących grzeszników się modli; w jednym oknie odmalowany dobry Ojciec, jak wychodzi naprzeciw marnotrawnego syna, w drugim dobry pasterz dźwiga na barkach zbłąkaną, odnalezioną owieczkę. Z jednej strony konfesyonału stoją lub klęczą mężczyźni, z drugiej kobiety; i jednych i drugich liczne szeregi, ale pomimo tego nikt się tu nie ciśnie; ci co już do spowiedzi przygotowani odmawiają różaniec i spokojnie czekają swej kolei. Późny był wieczór, a jeszcze penitenci konfesyonały oblęgali; nazajutrz stali już przy nich po piątej z rana; a nie tylko nazajutrz, bo i w poniedziałek i we wtorek świeże do spowiedzi dążyły zastępy. „Męczące to, ale budujące, bardzo budujące, mówił do mnie pewien poważny kapłan również z dalszych stron przybyły, i nie tak nawet męczące, jakby się zdawać mogło, bo do spowiedzi wszyscy prawie dobrze przygotowani; spowiadają się często, wiedzą po co przychodzą i co mają mówić“. A nie tylko starsi, ale i szkolne chłopaki i dziewczęta dobrze widać, dzięki gorliwości rodziców i kapłanów miejscowych, wyuczone i przygotowane, kiedy nazajutrz w poniedziałek od 4—9 wieczorem przeszło pięćset się ich wyspowiadało.

Pracować tu trzeba i pracują też kapłani tutejsi bez wytchnienia; kazania mówią, spowiadają, wtedy nawet, gdy zdawałoby się, że zmęczenie, że choroba domaga się folgi w pracy. Proboszcz li-

piński zachorował przed rokiem ciężko na nogę, tak że ustać nie mógł na ambonie; mniejsza o to, kazał sobie krzesło na ambonie postawić, ale kazania ani jednego nie opuścił. Tej tylko bezustannej, ciągłej pracy zawdzięczać można, że dwóch księży podolać może duchownym potrzebom 17.000 parafian i to parafian w ogóle bardzo nabożnych, z których wielu raz przynajmniej na miesiąc przystępuje do Sakramentów świętych.

Od rana, w niedzielę, kościół pełny; Msza za Mszą wychodzi; śpiew pobożny, polski, dokoła głośno się rozlega i do serca przenika. Z okolicznych wsi: Rudy, Królewskiej Huty, Huty Godulli, nadchodzą kompanie ze śpiewem, z modlitwą na ustach; już nie tylko kościół, ale i plac obszerny przed kościołem nabity głowami ludzkimi. Rano i po nieszpórach w kościele kazanie niemieckie; przed sumą, przed *Wielkiem*, jak tu mówią, i przed nieszpórami kazanie polskie na placu przed kościołem z wygodnej, opatrzonej daszkiem, przybranej w wieńce ambony. Kazania polskiego słucha przynajmniej 10.000 ludzi; są między nimi i Niemcy, którzy rozumieją po polsku, jak i w kościele wielu Polaków słuchało, kłam zadając przysłowiu, ze zrozumieniem i pożytkiem, niemieckiego kazania. Na twarzach maluje się skupienie i uwaga; widać, że nikt i jednego słowa stracić nie chce, że każdy za słowo Boże wdzięczny i cenić je sobie umie.

„A pamiętacie, pyta mój towarzysz jakiejś gromadki, co to ja wam prawilem przed paru miesiącami“.

„Toć pamiętamy! brzmi odpowiedź i następuje dokładne sprawozdanie: „Mówiliście księżoszkę, o tem i o tem...“

W czasie wspaniałej procesyi dookoła kościoła, popłynęły znowu w niebiosą gorące, rzewne słowa pieśni polskiej; zagrała górnicza orkiestra. Pomiędzy dwoma szeregami śpiewającego w skupieniu klęczącego ludu, siedł w złocistej kapie kapłan z Najśw. Sakramentem, otoczony licznem duchowieństwem, poprzedzony przez kilkadziesiąt dziewczątek w bieli, rzucających kwiaty. Wszystko: lśniąca od złota kościelne szaty i szczerbiała od ciężkiej pracy twarze górników; białe stroje dziewczątek i marszczkami poorane oblicza ich matek; gęsto z okolicznych hut idący w górę dym, w którym łamały się złote promienie słoneczne; wszystko: niebo

niejako i ziemia łączyło się w jeden chór i powtarzało słowa pieśni: „Tobie cześć, chwała, nasz wieczny Panie!“

„Pan Jezus dał nam pogodę i piękny dziś mamy odpust, mówił mi pewien pocziwy Lipinianin; ale szkoda, żeście nie byli przeszłego roku we wrześniu, kiedy tu nasz książę-biskup wrocławski przyjechał. Wtedy to dopiero były uroczystości i górnicy na koniach, i śpiewy i muzyki, i do Bierzmowania tyłu przystępowało, i tak się wszystko porządnie, a pięknie odbyło, że aż sam książę-biskup się dziwił“.

Przeszłego roku we wrześniu, ani nawet tego roku w maju, gdy znowu książę-biskup *Jerzy Kopp* pewną część Górnego Szląska wizytował, dostać się tam nie mogłem; ale żałowałem, że nie wiedziałem poprzednio o odpuscie w Niemieckich Piekarach, w dzień św. Bartłomieja 24 sierpnia, bo warto było dla przyjrzenia się temu odpustowi wyjazd swój o parę dni przyspieszyć. Ale choć bez odpustu, jakże do Piekar nie wstąpić i cudownemu obrazowi Matki Bożej tutaj się nie pokłonić? Przed obrazem tym modlił się Jan III i wojska polskie, gdy ciągnęły na odsiecz zagrożonemu Wiedniowi¹; tutaj August II wyrzekł się, przed wstąpieniem na tron polski, heretyckich błędów; tutaj zasłynął w połowie bieżącego wieku pobożnością i gorliwością o chwałę Bożą, znany i czczony na całym Szląsku, jako mąż prawdziwie święty, miejscowy proboszcz *ks. Fieчек*. Dziełem *ks. Fiecka* jest stojący dziś, obszerny, murowany kościół, który raz po raz napelnia się tłumami pobożnych ze Szląska, Morawii, Galicyi i oddalonego o miedzę Królestwa Polskiego. Raz po raz — bo mówiąc o ostatnich tylko paru miesiącach — odbyło się tu pięć uroczystych odpustów. W dzień Nawiedzenia Matki Bożej, 2 lipca, nadeszło z okolicy 12 wielkich kompanij; na uroczystość Matki Boskiej Szkaplerznej 16 lipca przybyło również kilkanaście kompanij, odprawiano Summy, kazania miano jednocześnie w trzech różnych miejscach: w kościele, na tak zwanym „Rajskim dworze“ i na Kalwaryi; na Ma-

¹ Por. *Przegląd Pow.* t. XI, str. 387 „Jan III w Piekarach“. Podobizna obrazu Matki Boskiej Piekarskiej i kościoła w Piekarach znajduje się w *Intencyach Miesięcznych Apostolstwa Modlitwy* na miesiąc maj 1880 r.

tkę Boską Anielską, nadeszło sześć kompanij; na Wniebowzięcie Matki Boskiej pięć kompanij; wreszcie w dzień św. Bartłomieja, pod którego wezwaniem istniała w Piekarach przez lat 600 mała drewniana kaplica, zbiegły się znowu tak liczne tłumy, że musiano jednocześnie w trzech miejscach odprawiać Summę i głosić kazanie. W pięć dni po odpuszcie zastaliśmy jeszcze na gościnnem probostwie kilku księży z stron dalszych, którzy przybyli tu już na parę dni przed św. Bartłomiejem i bez przerwy aż do tej chwili słuchali spowiedzi pobożnych pątników. „Ale dziś już nie wielu ludzi było do spowiedzi, objaśniał czcigodny następca i zastępca fundatora piekarskiej świątyni, dziekan i komisarz biskupi, *ks. Nerlich*; możemy swobodnie pomodlić się w kościele, obejrzeć „Kalwaryą“.

Kościół — nie powiemy piękny, pod względem struktury i gustu z bytomskimi np. świątyniami ani mierzyć się nie może, ale i obraz cudowny i pamięć na świętobliwego fundatora dziwnie w nim do nabożeństwa pobudza. Imię *ks. Jana Fiecka* choć lat już 28 od chwili śmierci jego dobiega, na całym Górnym Szląsku znane i czczone jako imię Świętego; ci co go znali wspominają o nim zawsze z największem rozrzewnieniem i uwielbieniem, i istotnie zasługuje on sobie ze wszech miar na uwielbienie¹. Nie mając żadnych środków postanowił sobie wybudować na cześć Maryi cudownej wspaniały kościół, i wbrew wszelkim przeszkodom, ufając tylko Opatrzności Bożej, zmuszony dla niezachowania pewnych rządowych formalności uciec się parę razy do pośrednictwa samego króla Fryderyka Wilhelma IV, dokonał przedsięwziętego dzieła. Dobry przykład nie poszedł na marne. Bezpośredni następca fundatora kościoła piekarskiego, *ks. Purkop*, stawiać zaczął na górze tuż obok kościoła stacye Męki Pańskiej, tak zwaną „Kalwaryą“; dzisiejszy proboszcz kierując się radami *O. Władysława Schneidera*, który dłuższy czas bawił w Jerozolimie i doskonale zna miejsca święte, zmienił nieco pierwotny plan i energicznie prowa-

¹ Dziś żyją jeszcze osobiści znajomi, przyjaciele, duchowni synowie *ks. Fiecka*. Miejmy nadzieję, że nie dozwolą, aby piękna ta postać bogobojnego szląskiego kapłana pójść miała w zapomnienie dla przyszłych pokoleń, i postarają się o skreślenie wyczerpującego jego życiorysu. Najwyższy już czas do wykonania tej pracy, do zebrania krążących w ustnej tradycji nadzwyczaj ciekawych anegdotek, budujących opowiadań.

dzi dalej rozpoczęte dzieło. Cała krzyżowa droga wysadzona drzewkami; za lat kilka ozdobią one całą tę górę z dawien dawna „Cerekwią“ nazwaną; użyczą miłego cienia tysiącom pielgrzymów. Tymczasem pod przewodnictwem *ks. Nerlicha* i szwagra jego, który sam na procenta i zyski w niebie tylko rachując, kieruje mularskimi robotami, podążaliśmy krótszemi ścieżkami od kaplicy do kaplicy. Niektóre kaplice zupełnie już wykończone, inne w tej chwili się budują; a aby poznać z jakim staraniem, niczego dla Boga nie szczędząc się budują, dość powiedzieć, że wystawienie jednej kaplicy razem z wewnętrznem urządzeniem kosztuje około 20.000 marek. Prawda, że wiele kaplic zasługuje raczej na nazwę pięknych kościółków, i że sprowadzone z zagranicy bardzo gustowne figury nie mało pieniędzy pochłaniają.

Skąd płyną te pieniądze? Z tego samego źródła, z którego popłynęły na kościoły w Lipinach, w Bytomiu i w samychże Piekarach, — z pobożności ludu rozmiłowanego w ozdobie domu Bożego. Tak, w czasie jednego z ostatnich odpustów zebrano ze składek jednego tylko dnia około 2000 marek; za sprzedaż obrazków cudownej Matki Boskiej Piekarskiej uzyskano do połowy sierpnia b. r. okragło 4000 marek; a co niemniej ważna, wszystkie te pieniądze idą wyłącznie na materiał budowlany, na obrazy i figury, bo robotnik nie, albo prawie nie nie kosztuje. Kiedy zwiedzaliśmy Kalwaryą, pracowało przy budowie dwudziestu kilku ludzi. Przyszli tu oni z nabożeństwa, tłumaczył czcigodny nasz przewodnik, z miłości dla Pana Jezusa, któremu swą pracę w ofierze oddają i nikt ani feniga za nią nie przyjmie. Kto na cały dzień nie może, ten przyjdzie choć na godzinę, na dwie. Dziś mało pracujących, bo gdzieindziej pilną mają robotę, ale bywały dni, w których po sto i więcej się ich zbierało“.

A te dziewczęta, spytał ktoś z nas, widząc kilka młodych, silnych Szlązaczek z konewką w jednej ręce, ze szczotką i mokremi ścierkami w drugiej; — czy także idą przy budowie pomagać?

„Nie, — one teraz z własnej ochoty robią porządek w kościele i kaplicach po ostatnim odpuscie; otrzepały ze ścian prochy, wymyły posadzki. Zawsze się kilka chętnych znajdzie do tej pracy po każdym odpuscie; niech im Bóg za to błogosławi“!

„Niech im Bóg błogosławi“! powtórzyliśmy z całego serca.

Dobrze i dziwnie jakoś swojsko w tych Piekarach pod cieniem cudownego obrazu Matki Bożej, która błogosławi stąd i miescowym, rzekłbyś wielkomiejskim kamienicom i kamieniczkom i za graniczną miedzą, o kilkaset kroków stojącym, a tak różnym, jakby z zamierzchłej przeszłości sprowadzonym, słomą krytym, w ziemi zagłębionym chałupkom. Żał opuszczać Piekary, żał z gościnnymi gospodarzami się żegnać; patrząc na niknące w oddali wieże kościelne, powtarzamy słowa ludowej pieśni:

O jakoś piękna Panienko Piekarska,
W obronie stoisz ozdobo Śląska
Ślicznaś jest, biała jak lilia,
Dobrocią pachniesz, jak konwalia...
Nie frasujcie się ludzie udręczeni,
Panno Piekarska! Ty na nas wspomnij,
Boś się nie darmo w Śląsku zjawiała,
Tylko, żebyś nas w smutkach cieszyła...

Do „Wielkiego Kamienia“ (Gross Stein), rodzinnego miejsca świętych naszych: Jacka, Czesława, Bronisławy, jechać trzeba godzin kilka koleją żelazną aż do stacyi *Rośmierz* za *Gross Strehlitz*, a stąd końmi dobrą jeszcze godzinę. Położenie tu zmienione, nad głową unoszą się niebieskie obłoki, a nie czarny dym fabryczny; miasto lasu z kominów, prawdziwe, wybornie zagospodarowane lasy hr. *Strachwitzów*. W *Kamieniu* znajdują się obfite pokłady wapiennego kamienia i stąd nazwa tej miejscowości, podobnie jak leżącego o tysiąc kroków *Kamionka* (Kleinstein). Wedle pobożnego podania, które do dziś dnia z pokolenia na pokolenie przechodzi, św. Jacek przechodząc po wsi, rozsypał ziarnka swego różańca, a ziarnka te zamieniły się w kamieniste perły, z którymi kamieniecki rolnik nieraz tu na gruncie swym się spotyka. Żyje też pamiętać wszystkich trzech spokrewnionych ze sobą świętych na całym Szląsku, żyje przede wszystkim pamięć św. Jacka, nie tylko we Mszach i pacierzach kapłańskich, ale w licznych obrazach po kościołach, kaplicach i domach, w szczerem nabożeństwie do tego doświadczonego patrona. Nabożeństwo to naturalnie najżywsze w samym *Kamieniu* i okolicy. Kościół parafialny zostaje pod wezwaniem świętego, a nadto w starem zamczysku, stojącym na tem samem miejscu, na którym św. Jacek ujrzał w r. 1183 światło dzienne, znajduje się założona w r. 1717 dość obszerna kaplica, którą ob-

sługuje osobno w tym celu wyznaczony kapłan, zwany tu zazwyczaj księdzem „Fundatystą”. Zamek i otaczające go dobra należą obecnie do hr. *Strachwitzów*, którzy ród swój wywodzą od św. Jacka, a umiejac ocenić ten zaszczyt, należną cześć po dziś dzień oddają świętym swym przodkom. Najstarszy syn panów na Kamieniu nosi zawsze od dawnych już czasów imię Jacka, córka imię Bronisławy; rok rocznie na dzień św. Jacka zjeżdża cała rodzina z pobliskiego *Stubendorf*, gdzie stała ma rezydencję do zamku w Kamieniu i uczestniczy tutaj w uroczystem nabożeństwie.

Szczegółów tych budujących i ciekawych, dowiedzieliśmy się na probostwie, gdzie bardzo serdecznie przyjął nas sędziwy ks. *Sołtysek*; zżył on się i całem sercem ukochał parafią swoją, parafią świętych, w której w marcu właśnie obchodził pięćdziesięcioletnią rocznicę objęcia kamienieckiego probostwa, a jak świadczy wspomniały, marmurowy krzyż na pamiątkę tej rocznicy wystawiony, to i wdzięczni parafianie z długoletnim pasterzem swym się żyli i umielić trudy jego ocenić. Do kaplicy zamkowej ofiarował się za przewodnika gospodarz jej ks. *Theimert*. Niebawem przyłączył się do naszej gromadki, zarządca zamkowy, nadleśniczy *Mueller* z pękiem potężnych kluczy w rękę i razem nie bez wzruszenia przeszliśmy zbutwiałe progi starożytnej siedziby Odrowążów, Strzelów i tych tylu innych poważnych szlaskich magnatów, bogobojnych matron, których portrety witają nas po korytarzach i salach zamkowych.

Sama kaplica św. Jacka nie wielka; odznacza się pięknym obrazem św. Jacka, trzymającego w ręku monstrancyą wysadzoną drogimi kamieniami; w osobnej szafce złożone są: biała sukienka, pasek, mały dominikański kapturek, które wedle podania miał święty nosić w dzieciństwie¹. W ostatnich czasach, dzięki miłości jaką żywią obaj nasi przewodnicy dla świętego Patrona *Kamienia*, kaplica nie mało zyskała; nowe zupełnie piękne schody, mała am-

¹ Czy relikwie te są autentyczne? Autor niemieckiego życiorysu *Das Leben des hl. Hyacinth von Silesius*, mocno autentyczność tę podaje w wątpliwość, bo istotnie jakże przypuścić, że św. Jacek, towarzysz św. Dominika, nosił jako dziecko, dominikański habit? Prawdopodobnie jeden z pobożnych panów Kamienia, przybrał swe dziecko w ten habit na cześć świętego przodka, a następnie darował go zamkowej kaplicy.

bonka na zewnątrz kaplicy powstała przed kilku dopiero miesiącami za gorliwym staraniem *p. Muellera*. Z ambonki tej rozeszło się w dzień św. Jacka b. r. po raz pierwszy od niepamiętnych lat żywe słowo Boże do kupiącego się koło kaplicy, w cieniu starych drzew otaczających zamek, zgromadzonego tłumu czcicieli św. Jacka. Dawnymi, dawnymi laty, gdy Dominikanie mieli klasztor swój w Opolu, wyruszała z tego miasta na dzień św. Jacka wielka procesya do *Kamienia*. Po zniesieniu dominikańskiego klasztoru w Opolu, zwyczaj ten ustał i z wolna coraz mniej pobożnych nie tylko z stron dalszych, ale i z samego Kamienia i okolicznych wiosek, gromadziło się koło rodzinnego zamku patrona szląskiego. W r. 1888 przystąpiło w czasie tej uroczystości tylko około sto osób do Sakramentów św.; tego roku, gdy się wieść rozeszła, że znowu dawne nabożeństwo z całą świetnością ma się odbywać, gdy poczcivi Kamieńczanie posłyszeli i zobaczyli, że idzie na seryo o wskrzeszenie tradycyjnej czci do św. Jacka, nie dali sobie tego dwa razy powtarzać. Już w wilią świętą, dawnym zwyczajem, wyruszyła do zamku z kościoła parafialnego liczna procesya, prowadząc w tryumfie, wśród pobożnych pieśni, księdza z Najświętszym Sakramentem. Dnia następnego w kaplicy zamkowej odbywało się całe nabożeństwo, około 700 osób komunikowało, i wieczorem dopiero znów w uroczystej procesyi odprowadzono do kościoła utajonego Zbawiciela. Pamięć pięknego tego dnia żywo tu w umysłach przechowała się. „Na drugi rok, obiecują sobie mieszkańcy Kamienia, piękniej jeszcze będzie i więcej nas się zebrać musi“. „Święty to, a zaszczytny dla was obowiązek, odpowiadamy im na to, odpowiadają więcej jeszcze czynami niż słowami promotorzy tego nabożeństwa, obaj nasi przewodnicy. Dzięki Bogu! rozbudziło się na nowo ledwie już tlejące nabożeństwo do św. Jacka; teraz rzeczą waszą, aby płomień ten nie zgasnął, lecz ztąd rozszedł się na cały Szląsk, a da Bóg na całe wielkie pole działalności świętego za życia: na Ruś, Morawią i Polskę“.

„Co za szkoda, wyrывa mi się mimowoli zwiedzając wspa-
niałe zamkowe komnaty, co za szkoda, że właściciele tutaj sobie
stałej nie urządzają siedziby. Zamało tu drogich i rzadkich pamią-
tek, aby można myśleć o przekształceniu tego zamku w jakieś mu-
zeum starożytności; zawiele, aby oddać go zębowi czasu na pastwę,

a bądź co bądź i dziś już, mimo wszelkich zabiegów czuć i widać, że w tych salach i na tych krużgankach zadługo panuje pustka, naturalny krzewiciel i poprzednik ruiny“.

„To też, uspokaja uprzejmy burgrabia-nadleśniczy, sprowadzi się tu niezadługo młody hr. *Jacek Strachwitz* z przyszłą swą małżonką. Zamek zostanie gruntownie odnowiony, ogród przyprowadzony do należytego stanu“.

„A i kaplica i cześć św. Jacka na tem zyska“, przepowiada ktoś z nas, a daj Boże, aby proroctwo jego jak najprędzej się spełniło.

Z osamotnionego pałacu szląskiego magnata, zstępujemy, jak radzi pieśń, a mówiąc prozaiczniej, ale prawdziwiej, pędzimy na dwóch lekkich wózkach do wiejskiej zamożnej chaty w oddalonym o sporą milę *Gorażu*, gdzie się dziś huczne odbywa wesele. Kiedy mój towarzysz bawił przed paru tygodniami w tych stronach, poznał matkę panny młodej i został od niej solemnie na dzień dzisiejszy, na wesele zaproszony; pół żartem, pół na seryo obiecał przybyć, a znalazłszy się znowu pół umyślnie, pół przypadkiem dziś właśnie w Kamieniu i rano na ślub do kościoła, i na wesele popołudniu ze sobą do *Goraża* nas pociągnął. Droga prześliczna wciąż między lasami; jadący z nami zarządca tych lasów, pokazuje nam kryjące się zdala między drzewami „sarniki“; ksiądz *Fundatysta* opowiada, jak się ludzie cieszą z ostatniego odpustu na św. Jacka, i ani się spostrzegamy jak i kiedy czas przeszedł, a już do uszów dochodzą ochocze dźwięki weselnej muzyki i okazała gospodyni, zdyszana, weselem rozpromieniona na przeciw nam wybiega.

„O Panienko Najświętsza! a czy ja się tego spodziewała! A że ja też dożyła takiego dnia szczęśliwego i takich gości, tyle księżoszków mam u siebie!“ woła raz poraz z tak szczerą radością, z każdym po kolei, jak ze starym znajomym się witając, a w jej ślady i inni się witają, że i my odrazu poczuliśmy się jak u siebie, jakgdybyśmy byli w kole dobrych, starych przyjaciół.

„Grajcież na przywitanie, zwraca się pocziwa *Pietruszczyna* do muzykantów i na stół „twardego“ im rzuca, a-i sama z wielkiej radości o mało nie bierze się do piasów, choć do piasów jeszcze nie czas, bo ucztą weselna nie skończona. Odbywa się ona

w dwóch sienią przedzielonych pokojach; w pierwszym, będącym izbą „niższą“ pokrzepiają się i wesoło gwarzą młodszy, w drugim siedzą starsi i poważniejsi biesiadnicy przy dwóch wąskich, długich stołach i raczą się potrawami niewymyślonymi, ale przyrządzonymi zdrowo i smacznie: rosółem, mięsiwem, ciastami. Przytem krążą szklanki z piwem, odzywają się tradycyjne, weselne pieśni. Jedna z družek wyśpiewuje rymowaną prośbę o grosz na czepiec dla pani młodej i z tacką w ręku, ze śpiewem na ustach obchodzi stoły; a bogaty to widać będzie, chyba perłami, jak dawnych mieszczek polskich, wyszywany czepiec, bo srebro gęsto się sypie. Znać tu wszędzie w całym tym domu dostatek i błogosławieństwo Boże; znać zarazem częściową przynajmniej przyczynę tego dostatku i błogosławieństwa: wierność dawnym i od ojców przekazanym zwyczajom; lekceważenie wielko czy małomiejskich mód, brak pańskich zachcianek, choćby nieraz na nie łatwiej niż w niejednym „pańskim“ domu znalazły się potrzebne pieniądze. „Pani młoda“ w niebieskiej, skromnej sukni jaką babki i prababki jej nosiły; z twarzy i całej postawy bije czerstwość, siła, zdrowie, także widać z pokolenia na pokolenie przechodzące.

„Mogłaby Pietruszczyna, szepcze mi sąsiad półgłosem, wystąpić huczniej, po miejsku i córkę przybrać w miejskie łąchy; stać ich na to, przecież córce dają teraz 2000 twardych, ale umyślnie dawne stroje, stary zwyczaj chowa“.

„A niechże Bóg wam darzy i wami się opiekuje, powtarzamy z innymi szczerze życzenia, a Pietruszczyna tymczasem coraz inne, coraz pocieszniesze i naiwniesze historyjki opowiada, których szkoda, że w tej chwili nie słuchał Sienkiewicz, bo by nas pewnie niezadługo uraczył wyborną powiastką, coś nakształt „Bartka“, lub „Opowiadań Soboty“...

Pieśni weselne przebrzmiały, uczta się skończyła, muzykanci pokrzepiają siły, bo nie mała ich cały wieczór czeka robota; młodzi zwraca się do gospody, która wnet się przekształci w salę balową, ale przedtem każdy podchodzi do gospodarzów i ściska za rękę:

„Dziękujemy za przyjęcie i poczęstunek“.

I nam czas podziękować, bo dziś jeszcze wieczorem chcielibyśmy dotrzeć do klasztoru Franciszkanów na górze św. Anny.

Gościnni wprowadzie przyjaciele nasi z Kamienia radzą nam odłożyć tę wycieczkę na dzień jutrzejszy i ofiarują wygodny nocleg w starożytnem zamczysku potomków św. Jacka; myśl ta nie mało się nam uśmiecha, bo choć pewnie straszy w zamczysku, we trzech strachów i duchów nie bardzo się boimy, a zawsze noc spędzona w siedlisku Odrowążów milem na przyszłość byłaby wspomnieniem; ale ostatecznie rada w radę, wbrew wszelkim perswazyom, z uporu, czy ze strachu przed strachami, opuszczamy wieczorem mile w pamięci i w sereu zapisany „Kamień“. Do widzenia! Do widzenia!...

I ciemno i chłodno, a choć wcale nie głodno, to do św. Anny daleko, o wiele dalej, niż z zaczerpniętych po drodze wiadomości można było wnioskować. Wreszcie konie się zatrzymują; małomowny woźnica obraca się i powiada z flegmą: „Wysiadajcie, ot! tu na górze klasztor i kościół“.

„A nie można tam podjechać?“ — „Nie można!“

Można było i to wygodnie, ale w ciemnej nocy, że oczy wykół, trudno się nieznajomym rozpoznać w miejscowości. Chcąc więc nie chcąc trzeba było na słowo zawierzyć zbyt o konie, mniej o nas dbającemu, niezaradnemu, czy nie życzliwemu, jak gdyby nie pochodził z Górnego Szląska furmanowi; trzeba było wziąć, szczęściem nie ciężkie tobolki do ręki i iść nie gdzie oczy, lecz gdzie nogi poniosą.

„Eureka! schody!!“

W nocy dopiero, pnąc się mozolnie schodami coraz wyżej i wyżej, ocenić można wysokość góry św. Anny, na której wystawiony kościół i klasztor panują nad całą okolicą. Skończyły się na koniec schody, ale nie skończyły się nasze utrapienia; jedna brama zamknięta i napróżno w nią stukamy i pukamy; drugiej odnaleźć nie można, a tymczasem zrywa się silny wicher i wyprawia dzikie harce, zapominając że to nie *Lysa Góra* i nie sabbat czarownic.

— „To duchy z kamienieckiego zamczyska mszczą się, żeśmy u nich nie przyjęli gości“.

„Piękna poezya, praktyczniejsza proza, piękna rzecz „baśnie“, ale nad najpiękniejszą baśń, a choćby i „baśń nad baśniami“ lepszy ciepły kącik, zwłaszcza w nocy i na wicherze, odpowiada prozaicznie usposobiony, bo zziębnięty M., a gdy my jeszcze rozpra-

wiamy co robić i dla humoru wygrzebujemy z pamięci romantycznych puszczyków, Faustów i Twardowskich, polskie, niemieckie, angielskie czarownice; on tymczasem spuszcza się na dół i sprowadza z najbliższego domku przewodnika, z którego pomocą dostajemy się bez trudności do klasztornej furty, do przygotowanych już dla nas ubogich, lecz chędogich celek.

Góra św. Anny, zwana dawniej, a czasami i dzisiaj jeszcze górą „Chelmską“, zarosła była aż do początku XVI wieku gęstym lasem. Około tego czasu dopiero, ówczesny dziedzic tej miejscowości, *Jerzy Adam Franciszek Gaszyna*, spowodowany nadziemskim jakimś światłem unoszącem się nad Chelmską górą, zbudował na niej małą kaplicę na cześć św. Anny. W pięćdziesiąt lat później *Anna Marya Nochtic z Malticów* obdarzyła tę kaplicę relikwiami św. Anny i drewnianą po dziś dzień na wielkim ołtarzu wystawioną figurą tej Świętej, którą Bóg niebawem wielkimi raczył tu wsławić cudami. Dla wygody coraz liczniejszych pielgrzymów stanął niezadługo drewniany kościółek, kolo którego osiedlili się w połowie siedemnastego wieku, sprowadzeni z Krakowa OO. Reformaci; r. 1673 odbyła się uroczysta konsekracya wielkiego kościoła, który do dziś dnia przetrwał; r. 1733 hr. *Ludwik Gaszyna* dokończył rozpoczętej przez brata swego Józefa, budowy złączonego z kościołem klasztoru. Poprzednio jeszcze, bo w pierwszych latach XVIII w. postanowili hojni i pobożni właściciele założyć na górze św. Anny „Kalwaryą“, w przeciągu lat dziewięciu stanęło 33 kaplic ozdobionych obrazami pochodzącymi z pod pędzla, umyślnie w tym celu z Włoch sprowadzonych malarzów. Razem z innymi zniesiono w r. 1811 i klasztor na górze św. Anny. W kilkadziesiąt lat później góra ta i cała przestrzeń przez kaplice kalwaryjskie zajęta przeszła na własność biskupów wrocławskich, a ci w roku 1859 poruczyli opiekę nad świętą tą miejscowością OO. Franciszkanom z Westfalii. Cześć Boża szerzyła się, pielgrzymów napływało coraz więcej, w sierpniu r. 1864, gdy obchodzono stoletnią rocznicę rozpoczęcia kalwaryjskiego nabożeństwa, zgromadziło się przeszło 100.000 pobożnych. Niestety! przyszedł *Kulturkampf*. Franciszkanie musieli w sierpniu 1875 opuścić swą siedzibę; za lat sześć dopiero, dzięki usilnym staraniom wrocławskiego biskupa *Foerster*a, przybyło do osierociałego klasztoru dwóch Franciszka-

nów i choć w zakonnym habicie chodzić im nie było wolno, dozwolono im przynajmniej modlić się i pracować w swym domu; wreszcie w październiku 1887 objęła na nowo westfalska prowincya Franciszkanów jawnie i urzędownie kościół, klasztor i Kalwaryą¹.

Gwardyan, rodem Westfalczyk, ale biegle po polsku mówiący, sam oprowadzić nas zechciał po kalwaryjskich kościolkach i kaplicach. Znać tu wszędzie staranną rękę pobożnych stróżów świętego tego miejsca; w wielu kaplicach dawne malowidła ustąpić musiały miejsca o wiele gustowniejszym, bardziej przemawiającym do serca i wyobraźni figurom i ułożonym z nich grupom. Obok „dróżek P. Jezusa“, ciągną się, jak w galicyjskich Kalwaryach, „dróżki Matki Boskiej“; a jak tam, tak tu lud wierny skrupulatnie i jedne i drugie procesjonalnie odwiedza. Po drodze opowiada nam O. Gwardyan budujące szczegóły o pobożności tych tłumów przybywających tu z Czech, z Galicyi, z Polski, z Morawii, ze Śląska; chwalejących Boga różnymi językami, ale jednym sercem. Dla wygody pielgrzymów święcą się tutaj, za zezwoleniem papieskiem, główne uroczystości odpustowe w ten sposób, że przez cały tydzień poprzedzający uroczystość znalezienia i podwyższenia św. Krzyża, i w poniedziałek Zielonych Świątek odbywa się nabożeństwo dla pielgrzymów niemieckich; w sam dzień znalezienia i podwyższenia św. Krzyża i w uroczystość Przen. Trójcy wyłącznie dla pielgrzymów polskich z polskimi kazaniami w kościele i przemowami na dróżkach; w inne święta są oba języki równouprawnione. Napisy w kaplicach, podpisy na obrazach, pobożne westchnienia zdobiące ściany lub figury, także zazwyczaj są w obu językach: polskim i niemieckim. Poszanowanie to języka miejscowej ludności w jednym kościele i przez kościół daje pochoch do różnych rozmyślań o sile i prawie, o stosunku i roli Kościoła i państwa na świecie; mile, a szczególnie odbija od wyłącznie niemieckich napisów na gościńcach i kolejowych stacyach, urzędach, fabrykach, wszelkich

¹ Daty te i szczegóły wyjęte z dziełka: „Książka kalwaryjska... dla wygody pobożnych pątników przybywających do góry św. Anny w Górnym Śląsku“. Nakładem klasztoru OO. Franciszkanów w św. Annie, 1888. str. 164. Drukiem A. Marcy'go w św. Annie, 1888.

budowlach, nad któremi choć z wysoka i z daleka unosi się orzeł niemieckiego cesarstwa.

Na dole klaszterek i kościołek „Służebniczek,” które tutaj utrzymują szpital. I pokorne te sługi Boże nie dawno w te strony mogły powrócić; dziś dzięki ostatnim prawom wolno im chorych opatrywać, naturalnie tym tylko, które biegle władają językiem niemieckim. Innym pomieszkaniu wzbronione, aby przypadkiem chorych Górnoszlązaków nie polonizowały.

„Polonizacya! już samo to słowo zabawnie brzmi w dzisiejszych czasach i stosunkach w niemieckim cesarstwie; natomiast z wyrazem „germanizacya,” a bardziej jeszcze z rzeczą samą przez wyraz ten oznaczoną, podróżny na każdym kroku na Górnym Szląsku się spotyka. Nazwiska stacyj kolei żelaznej, wsi, miasteczek, tak nielitościwie na niemiecką modłę przekręcone, że nie wiedzieć, śmiać się czy płakać. Tak np. konduktor woła: *Peiskretscham!* a to po prostu *Pyskowice*; przejeżdżamy przez *Schimischow*, *Patschin*, *Bitschin*, *Gonschiorowitz* i w głowę zachodzimy, kto na pohybel niemieckiego języka wymyślił te cudackie nazwy, do których zastosować chyba się da nasze przysłowie o pół baranie i półkozie. Nie lepiej z nazwiskami osób. W Zaborzu uderza z daleka olbrzymi szyld: *Krischkowsky Bahn-Spediteur*; w Świętochłowicach poleca szewskie wyroby *Jan Kotzur*; w Kamieniu mieszka bogaty gbur *Jan Mandrella* (Mądrała); w Szopienicach *Penkalla*; w Bytomiu czytamy po ulicach dobrze znane uchu, dziwujące oko napisy: *Schwientek*, *Dombrowsky*, *Zawischa*... Coby to powstał za hałas, ile śledztw i dochodzeń, gdyby się tak pojawił w Bytomiu lub Gliwicach handel *Millerskiego* lub *Slezingerowicza* i słusznie, bo przecież zmieniać sobie samowolnie nazwiska surowo prawem jest wzbronione.

— „Prawda to wszystko, odpowiada ktoś z miejscowych na moje uwagi w tym względzie; ale trudna rada! — Niemcy nie potrafiliby wyczytać nazwisk polskich właściwie napisanych. Musimy się do nich zastosować“.

Niemcy — panowie Szląska, a wszyscy i wszystko inne ma się do nich i ich wygody zastosować: oto dogmat, z którym w licznych kole księży i świeckich wystąpił jasno i bez ogródek zarządca dóbr

należących do jednego ze szląskich, katolickich magnatów, człowiek, — jak mię zapewniano — skądinąd porządny i pocziwy.

„*Man muss die Leute germanisieren!*” wołał z zapalem, gdy przy końcu sutej biesiady z wszystkimi swemi uczuciami i pragnieniami wszem w obec się zwierzał. Trzeba biedaków przemienić koniecznie w Niemców, bo inaczej zawsze niżej będą stali na drabinie społecznej. Jak mam przyjąć robotnika, jeśli się z nim rozmówić nie potrafię; jak mogę mu poruszyć trudniejsze jakie zadanie? Z drugiej strony, po co robotnikowi dwoma językami władać; niech mówi dobrze po niemiecku, niech wszyscy mówią tylko po niemiecku, a ustana dotychczasowe trudności i los ich sam z siebie się polepszy“.

Każde dziecko na wywody te daćby mogło i musiało odpowiedź: „Nie tysiące ludzi są dla ciebie, ale ty dla nich. Naucz się po polsku, a jeśli nie chcesz, czy nie możesz, nie jedz szląskiego chleba, lecz szukaj gdzieindziej szczęścia i grosza“.

Taką też odpowiedź, choć w delikatniejszą formę przybraną, otrzymał ów oryginalny dobroczyńca i przyjaciel Szlązaków, a odpowiedź ta tem bardziej trafić mu była powinna do serca, że z szczególnym naciskiem dali ją nie Polacy, lecz rodowici Niemcy. Obecni księża powstali jednomyślnie przeciw niemczeniu ludu, jako rzeczy niezgodnej i z Boskimi i z ludzkimi prawami. „Jestem rodowitym Niemcem, mówił jeden z nich, mój ojciec słowa jeszcze po polsku nie mówił; ale kiedy pracować zacząłem między ludem mówiącym po polsku, to uważałem sobie za święty obowiązek języka tego wedle możliwości się wyuczyć; do parafian moich w macierzyńskiej ich mowie przemawiać“. „Jako ksiądz i katolik, mówił drugi, nie mogę sobie życzyć, aby Szlązacy języka swego się zaparli, bo doświadczenie mi pokazało, że Polak, który wyrzekł się swego języka, zbyt łatwo także wiary i Kościoła się wyrzeka. Równie Niemiec, jak Polak może być dobrym i pocziwym człowiekiem; do zniemzonego, do niemczącego się dobrowolnie Polaka, trudno mi się pozbyć nieufności“. „Jakaż zresztą racya, pytał inny, aby tu u nas na Szląsku walczyć z polskim językiem? O jakichś wielkopolskich aspiracyach czy agitacyach u Górno-Szlązaków mowy nawet nie ma. Wszyscy oni wierni poddani cesarza; o państwie niemieckiem mówią zawsze „nasze cesarstwo“, o wojsku — „na-

sze wojsko“; każdy prawie po niemiecku może się wysłować; dla-
czegoż zabierać im rodzinny ich język, a z nim rodzinne tradycje:
wiarę, sumienność, poczciwość“?

Nie było co odpowiedzieć na te uwagi, płynące z ust mężów,
którzy zostając z ludem szląskim w codziennej styczności, naj-
lepiej go mogą poznać i ocenić. Nie dziwiłem się i dziwić się nie
można było, że w tak licznej zgromadzeniu znalazł się jeden
zbyt gorliwy germanizator; ale jeśli nie zdziwić się, to ucieszyć
się należało, że nikt go w tem nie poparł, że przeciwnie sami
właśnie Niemcy skarcili najenergiczniej niefortunne to wystąpienie.

Górnoszlązak kocha gorąco swą wiarę, kocha swój język
i dzięki tej miłości i wiarę i język, choć już przez tyle wieków
obcą jest falą zalany, zdołał święcie przechować; kocha też pracę
i pracować umie, a praca ta ciągła, bardzo nieraz ciężka, zapewnia
domkowi jego dostatek i wygody, o których Mazurzy nasi lub
Rusini myślą chyba czasem jedynie, jak o jakiej czarnoksięskiej
bajce. Prawda, że i znojna, bez wytchnienia praca w hutach, ko-
palniach bardziej by im może jeszcze na bajkę zakrawała. Korzy-
stając z uprzedzającej grzeczności dyrektorów fabryk hut w Li-
pinach, zwiedziliśmy je szczegółowo; przypatrzyliśmy się, jak
nieforemny kawał rudy cynkowej wzięty pod opiekę ognia, młotów,
i nożów, czyści się, topnieje, przekształca, przemienia, aż wreszcie
przeszedłszy przez setki rąk, przez długi szereg pieców i maszyn,
wychodzi na jaw jako błyszcząca, na równe arkusze pokrajana bla-
cha. Ręce ludzkie idą w zawody z ogniem, parą i żelazem: przed
jaskiniami podobnymi do stawów napełnionych roztopionym meta-
lem stoją czarni robotnicy wrzucając bryły to węgla, to kruszcu
w paszczę tych nigdy nie nasyconych smoków; na górze w wspa-
niale oświeconej hali, gdzie płynny metal zwolna równą, piękną
blachą się staje, jeszcze jeśli nie cięższa, to bardziej gorączkowa
robota: nie ma chwili spoczynku, bo już nie dozorecy, ale sama
maszyna nagli, a bardziej jeszcze nagli myśl, że kto się tu nie
spieszy, ten na kawałek chleba nie zarobi ani dla siebie, ani dla
swoich. Wśród takiej w ścisłym słowa tego znaczeniu gorączkowej,
i silnych muskularów i zgrabności wymagającej pracy, spędza zwy-
kle robotnik godzin dwanaście, od północy do południa, lub od
południa do północy, bez żadnego lub w pewnych miejscowościach

z jednogodzinnem odpoczynkiem. Jedna to „szychta“ wedle klasycznego wyrażenia.

— A jakaż za robotę tę zapłata“?

— „To rzecz bardzo względna, stosownie do sił robotnika, jego zręczności i samegoż rodzaju pracy. W ogóle mówiąc od czasu ostatniego wielkiego strejku na Górnym Szląsku, stosunki w tym względzie znacznie się polepszyły; w niektórych kopalniach i hutach sami robotnicy przyznają chętnie, że płaceni są sprawiedliwie; w paru nie chcieli nawet wziąć udziału w znowie, za co jak np. w *Szarleju*, w kopalni św. Heleny postanowiono urządzić dla nich bal i ucztę na 2.000 osób. W kopalni tej najniższa płaca tak zwanego tu „hajera“ wynosi 2 mr. 50 fen. na szychtę. W kopalni „Pauliny“, która, jak chwali sobie w korespondencji do *Katolika*, jeden z tamtejszych robotników:¹ „słynie z tutejszych okolicznych kopalni, jako najlepsza na zarobek, „hajerzy“ zarabiają obecnie od 2 do 3 mr., „szleprzy“ od 1·70 do 2·80 mr. W kopalni „Wolfgang“, „hajerzy“ zarobić mogą 2·50 do 3 mr.; „folerzy“ około 2 mr.; „ciskacze“ 1·80 mr. W „Królewskiej Hucie“ największa część robotników pracujących w hutach, tak zwanych „werczanów“ zarabia do 2 mr. na szychtę. Jak widać z paru tych przykładów silny mężczyzna zarabia sobie od 2—3 mr.; wyjątkowo tylko i to przy delikatniejszych pracach, 4 lub nawet 5 mr. Jeżeli ma dorosłe córki, to każda z nich znowu około marki z kopalni lub huty, do domu przyniesie; dorośli synowie zarabiać naturalnie mogą tyle, lub w pewnych okolicznościach i więcej niż ojciec. Od sumy tej odciąć należy stałe opłaty na doktora dla żony i dzieci, na olej lub inne rzeczy przy pracy potrzebne, na tak zwany *Knapschaft*; odciąć należy parę, a czasami i kilka marek na możliwe kary, gdy się coś zepsuje; gdy robotnik nie zadowolni, bądź słusznych żądań, bądź niesłusznych kaprysów swych dozorców. Ileż więc przeciętnie zostaje na utrzymanie domu, odzienie i żywność? Miasto ogólników, lepiej raczej zacytować w odpowie-

¹ *Katolik* z 13 sierpnia 1889. Korespondent pisze wprawdzie dyplomatycznie, jakby o kimś trzecim: „Znam robotników żonatych, którzy spotrzebują miesięcznie...“; nie mylimy się jednak, podobno sądząc, że takim właśnie robotnikiem „żonatym, mającym dwoje dzieci“ jest i sam piszący.

dzi stan rozchodów i dochodów jednego z robotników w kopalni „Pauliny,” jak je nam sam podaje. Robotnik ten mający żonę i dwoje dzieci potrzebuje miesięcznie wspólnie z rodziną:

„Na pomieszkanie 5 mr. (ale to wyjątkowo tanio); kartofli półtora cetnara 3-20 mr.; mąka 60 funtów 7-50 mr.; pszeniczna mąka 2 mr.; kawa 90 fen.; cykorya 20 fen.; 5 funtów cukru 3 mr.; 4 funty omasty, łoju 2 mr.; 3 funty sadła 2 mr.; 4 funty mięsa 2 mr.; inne drobne wydatki, jak kapusta, krupy, groch, ryż, sól i t. d. 4 mr.; gminny podatek 60 fen.; piwo 1 mr.; gazeta 50 fen. Więc tego uczyni miesięcznego wydatku 30-90 mr. Zarabiając za miesiąc 24 szychty to odciągnawszy 2-20 mr. (na knapszaft i doktora) zostanie ostatecznie na obuwiu, przyodziewek i różne inne nieprzewidzane wydatki 3-50 mr. A tu jeszcze zapomniałem mleko do kawy, masło na piątki, czego uczyni przy wielkiej oszczędności 2 mr. i oto pozostanie 1-50 mr. na obuwiu i przyodziewek czyli ubranie“.

Zapewne, niejednemu więcej grosza kapnie; niejednen coś jeszcze sobie na pożywienie oszczędzi, choć wiele oszczędzać nie podobna, bo prędkoby sił do wytężającej pracy zabrakło; ale ogólnie i tutaj życie nie różami wysłane; nie jedna rodzina żyć musi z dnia na dzień, a w razie przypadku lub choroby narażona jest na nędzę; nieraz i dziś jeszcze, mimo, że rzeczywiście wiele w ostatnim czasie na lepsze się zmieniło, słychać skargę, wyrażono w dopiero co wspomnianej korespondencji: „położenie robotnika nie jest urządzone wedle słuszności i sprawiedliwości“.

Dla zapewnienia tej sprawiedliwości, a zarazem dla zabezpieczenia robotnikom i ich rodzinom kawałka chleba w razie jakiego nieszczęścia, rzucono w ostatnich miesiącach myśl, która nie wątpimy, że się urzeczywistni, założenia „Związku wzajemnej pomocy dla robotników górniczych i hutniczych na Górnym Szląsku“. Dlaczego ma być jeden „Związek na cały Górny Szląsk, jaki jego cel, jakie środki, których chwycić się zamierza? Na pytanie to odpowiada programowa odezwa organizatorów „Związku“, ogłoszona w „Katoliku“, a następnie przez inne gazetki powtórzona:

Związek ma być jeden tylko dla całego Górnego Szląska. Dlaczego?

Oto dlatego, że w jedność leży siła i tylko taki jeden wielki związek będzie miał dostateczną moc duchową i materialną.

Zarząd związku, który będzie mógł o sobie powiedzieć, że ma za sobą 20 tysięcy robotników, zupełnie inną będzie miał powagę i znaczenie, aniżeli taki, za którym stoi 100, 200, 500, a chociażby i 1000 członków.

Zarząd związku, który będzie zarządzał kasą 20 tysięcy, o wiele lepiej może robotników wspomagać, aniżeli taki, którego dochody miesięczne zaledwo kilkadziesiąt marek wynoszą.

Związkiem ma kierować jeden główny zarząd; po kopalniach i hutach będą zastępcy, którzy interesa związku będą załatwiali.

Kasa towarzystwa będzie jedna, rządzona przez zarząd. Kapitały składać się będą w pewnym banku.

Jaki cel ma ten związek?

Celem związku jest pomoc wzajemna, pomoc pod duchowym i materialnym względem, pomoc pieniędzmi i pomoc radą.

Dlatego chodzi o to, aby z czasem, gdy kasa związku się wzmoże, przyjąć adwokata osobnego, który wszystkie sprawy robotnicze będzie prowadził. Za to członkowie wprost nie będą mu nic płacili, tylko kasa związku.

Pieniądz i mądra rada we wszystkich sprawach robotniczych mogą i muszą się przyczynić do polepszenia doli robotników.

Bardzo mało jest robotników takich, którzyby nie czuli potrzeby takiego związku. Mogą to być tylko ludzie, którzy nie czytają gazet, nieczem się nie interesują, w ogóle o sobie nie myślą szczerze.

Większość jednak rozumie cel związku i mamy nadzieję, iż ta większość związek podtrzyma, gdy go się założy.

Dziś donieść już możemy, że prace przygotowawcze są na ukończeniu i w niezadługim czasie odbędzie się wielkie zebranie, na którym ostatecznie związek założonemu zostanie.

Prosimy tedy wszystkich, aby między sobą o związku rozmawiali i nam w listach swe zdanie wypowiadali, zwłaszcza też, aby nam podawali ludzi mądrych na kierowników i zastępców po kopalniach i hutach.

O praktycznych — wyznać trzeba, że niewygórowanych żądaniach i życzeniach robotników — dać mogą dość jasne wyobrażenie, następne punkta, podane komisji rządowej w lipcu b. r. przez „Towarzystwo katolickich robotników w *Zabrzeu*“¹:

1) Praca ma trwać 10 godzin z wjazdem i wyjazdem, zapisem robotników i szycht. Płaca ma wynosić na szychtę 4 m. 50 fen. dla hajerów, 3 m. dla szleprów, a robota dyngowa ma być wedle tego ustanowiona; także potrzeba, aby do jednego filara 3 szleprów przydzielono.

2) Robotnicy „rabujący“ powinni z powodu niebezpieczeństwa, na jakie są przy swej pracy narażeni, dostać pełną zapłatę na szychtę bez względu na to, czy drzewo dobędą czy nie.

3) Hajerzy żądają 120 ctr., szlerzy 90 ctr. węgla rocznie na wolny opał, jako obowiązkowe, a nie jak § 19 porządku roboczego przepisuje, że wolne węgle mogą być każdego czasu skasowane.

¹ Por. *Katolik* z 16 sierpnia b. r.

4) Wozy, które skutkiem trzęsienia na długich sztrekach lub innych przyczyn nie są zupełnie pełne, ale które od górnika pełne wyszły, nie mają być kasowane.

5) Przy wypadkach i przeszkodach w pracy, które same przez się zajdą, nie powinien być robotnik karany lub degradowany; starsi robotnicy mają postanowić, czy i jaka kara ma robotnika za to spotkać.

6) Dawniej płacono do knapszaftu mniej, a kasa płaciła robotnikom więcej, aniżeli obecnie, choć składki do knapszaftu większe. Lekarstwa dla chorych i książki dla dzieci robotnikom odjęto. To ma być zmienione.

7) Ma być wolno, aby jeden górnik drugiego, w razie nieprzybycia do pracy mógł uniewinnić.

8) Kąpiele mają być po kopalniach urządzone.

9) Obchodzenie się urzędników z robotnikami ma być ludzkie.

Górnoszlązak modli się z całego serca, pracuje, zdawałoby się nad siły; ale i Górnoszlązak choć widząc, jak żyłasta jego dłoń całymi godzinami naprzód wyciągnięta, ogień i żelazo wzięła pod swe panowanie, rzechy i pomyśleć można: „To człowiek ze stali“, potrzebuje przecież wytchnienia dla ciała, rozrywki, wzbogacenia umysłu nowymi wiadomościami. Umysł wzbogaca się za pomocą licznych po wielkiej części w samym Szląsku wydawanych, ludowych książek i gazetek. Między temi ostatnimi najdawniejszą i najbardziej rozpowszechnioną jest *Katolik*, który w roku bieżącym rozpoczął 22-gi rok istnienia, a prenumeratorów liczy podobno na tysiące. Hasło, cel i program gazetki tej wyrażone są w samym jej tytule: „*Katolik*, pismo poświęcone ludowi ku enocie, nauce, zbogaceniu;“ nieco wyżej czytamy: „Prawo boskie przyrodzone i nadprzyrodzone, to nasze hasło;“ pod tytułem: „Szczupły język ojców, to prawo Boga, a człowieka obowiązek;“ z prawej strony: „Wiara, miłość Boga, bliźnich i oświata;“ z lewej: „Oszczędność, trzeźwość, stowarzyszenia“. *Katolik* wychodzi w Bytomiu dwa razy na tydzień we wtorek i w piątek w objętości pół arkusza bardzo ścisłego druku i kosztuje na kwartał tylko jedną markę. Pierwsze miejsce zajmuje zazwyczaj powieść; tak w roku bieżącym ciągnęła się przez kilkadziesiąt numerów powieść: „Pobożna sierota“, czyli: „Cnota zawsze odbiera nagrodę;“ z końcem sierpnia rozpoczął się druk tłumaczonej z francuskiego powieści *Lamothé'a*: „Król nocny, powieść z życia Irlandczyków“. Następnie spotykamy poważny artykuł, niby artykuł „wstępny“ omawiający doniosłą jakąś kwestyę np. obowiązek pielęgnowania języka ojczystego, szkołę

i wychowanie domowe na Górnym Szląsku, wiece katolickie¹ i t. p., lub streszczający ostatnie encykliki papieskie i biskupie listy pasterskie. Umieszczane regularnie „Dzieje dzisiejszego Kościoła“ są wiernym obrazem głównych wypadków odnoszących się do całego Kościoła i Papiestwa; jak znowu „Sprawy społeczne“ są obrazem życia i bied, dążeń i życzeń górnoszląskich górników, hutników i rolników; jak „Wiadomości z całego świata“ streszczają całą bieżącą politykę, a „Wiadomości bliższe i dalsze“ są wiankiem nowin i nowinek kronikarskich z wsi i miasteczek szląskich, z całej dawnej Polski, z „obczyzny“ i własnych kątów.

Jak widzimy jest co czytać wróciwszy po pracy do domu; można się i nauczyć i zabawić i nieraz serdecznie roześmiać; to też czytelnicy *Katolika* obejść się bez niego nie potrafią, donoszą mu w licznych korespondencyach o najdrobniejszych nawet szczegółach, pytają o radę, starają się rozszerzać między znajomymi ukochaną gazetkę. Posłuchajmy np. korespondenta z *Lędzin*:² „Choć mam dopiero 20 lat, a już trzymam trzeci rok „*Katolika*“ i takem go pokochał, żem jeszcze ani jednego numeru nie opuścił, bo nawet moi domownicy na mnie inaczej nie powiadają, ino „gazetnik“. Ja, bo się nie mogę nadziwić, jak mogą żyć ludzie, co nie nie czytają“. Korespondencyą tę odczytał sobie uważnie jakiś młodzieniec z *Rozbarku*, i takie na jej tle robi uwagi³: „Jestto bardzo źle, kiedy dorosłych ludzi do czytania namawiać trzeba. Ja mam dopiero 19 lat, a już cztery lata „*Katolika*“ czytam i nauczyłem się dopiero z niego czytać i pisać po polsku, bom ze szkoły tego nie wyniósł. Dzisiaj jeśli chcemy szanować nasz język ojczysty, musimy nadewszystko czytać polskie gazety i książki“. — „Proszę was także Bracia, pisze korespondent z *Wielkiego Dubieńska*⁴, zapisujcie sobie „*Katolika*“ i czytajcie go w wolnych chwilach. Zaręczam wam, że gazeta ta wkrótce tak wam się spodoba, iż z niecierpliwością będziecie oczekiwać chwili, w której listowy ją wam przyniesie“. — „*Katolika*“ nie abonuję, donosi

¹ Por. numer z sierpnia i września b. r.

² *Katolik* z 6 sierpnia b. r.

³ Z 13 sierpnia b. r.

⁴ Z 16 sierpnia b. r.

uboga wdowa z *Królewskiej Huty*¹, ale go sobie od innych pożyczam i czytam“. — „W naszej wiosce, zapewnia korespondent z *Grzybowic*², czytają więcej niż dwadzieścia numerów „Katolika“. Zazdrościć prawdziwie można Redakcyi, która od czytelników swych i prenumeratorów, odbiera takie dowody uznania i wdzięczności.

W tym samym mniej więcej formacie i z podobnym rozkładem materyj, jak w „Katoliku“, wychodzi w Niem. Piekarach co środę i sobotę „Gwiazda Piekarska“; w Królewskiej Hucie co wtorek i piątek „Głos ludu Górnośląskiego“ z godłem: „Hej! Bracia w imię Boże, — Bóg nam dopomoże!“; z „Gwiazdą Piekarską“ połączonym jest dwutygodniowy dodatek p. t.: „Przyjacieli domowy“; abonenci „Katolika“ otrzymują jako dodatek pisemko „Rodzina“; w Mikołowie u *Karola Miarki* wychodzi pobożne pisemko poświęcone czci N. Panny p. t.: „Zdrowaś Marya!“; w Piekarach pojawia się „Miesięcznik żartobliwy dla śmiechu i zabawy“, zeszyt po 10 fenigów; a prócz tych wszystkich, bądź co bądź licznych gazetek, dodatków i miesięczników, słyszymy jeszcze o „Gazecie Górnośląskiej“, „Opiekunie katolickim“ i „Nowinach Raciborskich“, z którymi żałujemy szczerze, że nam się dotąd zapoznać osobiście nie udało.

W innym, niż poprzednie pisma, rodzaju, jest istniejący od lat trzech miesięcznik „*Światło* pismo ilustrowane dla ludu“. Pismo to wychodzi w Bytomiu nakładem i czcionkami „Katolika“, pod odpowiedzialną redakcyą E. Radziejewskiego, a poczynawszy od sierpnia A. Napieralskiego, w dwuarkuszowych zeszytach. Kwartałna przedpłata wynosi jedną markę, bardzo a bardzo tanio, jeśli zważymy, że papier jest zupełnie dobry, druk czysty, a nadto każdy zeszyt zawiera od 4—6 starannie wykonanych, częścią oryginalnych, częścią z innych czasopism polskich i zagranicznych zażyczonych ilustracyj. „*Światło*, czytamy w odezwie Redakcyi, chce szerzyć oświatę ludową w duchu katolickim, rodzinnym, słując zarazem rozrywce umysłowej; zawiera umoralniające powieści, życiorysy mężów zasłużonych, opowiadania historyczne i pouczające opisy“. Piękny to program, pięknie jeszcze, że Redakcyja sumien-

¹ *Katolik* z 20 sierpnia b. r.

² Z 23 sierpnia b. r.

nie stara się program ten w życie wprowadzić. Tak np. ostatnich kilka numerów, prócz dłuższej powieści *J. A. Łukaszewicza*: „Szczęście na wsi“ i paru innych powiastek, zawiera pouczające, w sposób powieściowy osnute opowiadanie o wynalezieniu sztuki drukarskiej; poważną rozprawę o niewolnictwie, o arabskich Marabutach, o różnych ubiorach w różnych krajach; szereg historyczno-przyrodniczych obrazów z świata roślinnego; historią i opis poznańskiego ratusza, wielickich i olkuskich kopalni; kilka pobożnych, a kilka wesołych wierszyków; wreszcie na końcu każdego numeru długi zastęp gospodarskich notatek, rozmaitych kronikarskich i niekronikarskich „rozmaitości“, fraszek, zagadek, rebusów. Kilka ilustracyj jest wziętych z życia wielickich górników; kilka innych z życia hutników w „Dąbrowie górniczej“ i górników w kopalni „Mortimer“; dalej spotykamy wizerunki zasłużonych mężów, jak *Stefana Cegielskiego*, *Kazimierza Kantaka*; a czasem na szarym końcu i niewinną jakąś karykaturę. Niesie więc *Światło*, jak anioł na okładce pisma tego wyrysowany, w jednej ręce naukę, w drugiej wiarę przez krzyż oznaczoną; niesie zarazem pocziwłą rozrywkę i byłaby szkoda, gdyby upaść musiało dla braku dostatecznego poparcia, jak tego niestety! wydawcy obawiali się z początkiem bieżącego roku, a bodaj, czy i dziś jeszcze się nie obawiają.

Jak w gazetkach i przystępnych książeczkach, tak znajduje nasz górnik czy hutnik rozrywkę i naukę, przyjemność i korzyść, w rozmaitych kółkach, związkach, stowarzyszeniach, któremi literalnie cały Szląsk, każda rzecz można miejscowość jest zasiana. W *Lipinach* np., — a zapominać nie należy, że *Lipiny* to nie miasto, nie miasteczko, ale wieś tylko — istnieje: „Związek młodzieży polskiej“ i „Związek młodzieży niemieckiej“. W czasie pobytu naszego odbywało się właśnie zebranie związkowej polskiej młodzieży. Towarzysz mój, który już dawniej był na tych zebraniach, zapytał czybyśmy nie urządzili wspólnej wyprawy do sąsiedniego Chropaczowa, gdzie polscy młodzieńcy w sali *p. Galuszeki* śpiewają i gwarzą, bawią się i radzą. Rzecz prosta propozycją przyjąłem z radością i wieczorem podążyliśmy żwawo za światłem latarni niesionej przez usługownego naszego przewodnika, a lipińskiego zakrystyana.

Ledwie wprowadzeni przez gospodarza domu przestąpiliśmy próg sali, odezwały się z kilkudziesięciu silnych piersi słowa powitalnej pieśni¹:

Witam Was witam, wszystkich do koła,
Mili mi bracia Polacy.
Samo z radości serce mi woła,
Do Was kochani rodacy.

I łza miłości w oku mi błyska,
Gdy na Was w koło spoglądam,
A ręka moja szczerze Was ściska,
Którą do wszystkich wyciągam.

Lecz co za boleść serce me czuje,
Że wielu dosięć nie zdołam;
Bo iluż braci w oddali żyje,
Do tych na próżno tu wołam.

Wyciągam wszakże i do tych braci,
Dłoń mej życzliwej prawicy,
O niechże mój głos w powietrzu leci,
Do tej, gdzie żyją ziemicy.

Niech im doniesie, że pamięć o nich,
Nigdy w narodzie nie zginie,
Że także modły czynią się za nich,
I w naszej śląskiej krainie.

Witajcie i wy! odpowiadamy i dziękujemy z głębi serca i zasiadamy z prezesem „Związku“, z gospodarzem, z paru wybitniejszymi członkami przy honorowym stole. W około, na ławach, przy stołach w kilka rzędów ustawionych, zajęło miejsce około osiemdziesięciu zuchów, i rozpoczęła się żywa pogawędka przeplatana krótkimi mówkami, muzyką i śpiewem. Nie tak dawno jeszcze temu lipiński „Związek młodzieży polskiej“ liczył około 300 członków; dziś cyfra ta stopniała do niecałej setki. Czemu? Długo o temby mówić, ale nie mówiąc długo dość powtórzyć: „Musi odtać inaczej lepiej pójść“. „Da Bóg lepiej pójdzie“! obiecują sobie obecni. Prawdziwą klęską dla „Związku“ jest dotkliwy ból w nodze, którym Bóg od dłuższego już czasu nawiedził czcigodnego lipińskiego proboszcza i który nie pozwala mu brać udziału w naradach i zebraniach stowarzyszenia. „Może też Bóg się zlituje

¹ Tak ta, jak inne pieśni śpiewane na zebraniu „Związku młodzieży polskiej“, znajdują się w zbiorze wydanym przez ks. *Franc. Przytniczynskiego* p. t. „Piosenki Zabawne“ (po części górnośląskie). Bytom. 1887.

i wróci zdrowie naszemu Panu Fararzowi, mówi kilku, — a czuć, że te słowa ze serca im płyną; — toby znów do nas przychodzili i wszystko lepiejby było“.

„A co się stało, pyta mój towarzysz, z dawnym prezesem, tym dziarskim chłopakiem, co to tak pięknie przed księciem-biskupem na koniu się popisывał?“

„Ej! źle się z nim dzieje, brzmi smutna odpowiedź! Pycha go poprostu zaślepiła; że zgrabny był i coś więcej umiał, to myślał, że cały świat jego. To on, co do Krakowa, do tego pisma „Dyabła“ na naszego Fararza takie głupstwa wypisał“.

„Że też to w Krakowie, dziwił się inny, takie mu głupstwa wydrukowali. Ani wiedzieli kto, ani co, ani dlaczego, a zaraz drukować. Zamiast upamiętać chłopaka, to go gorzej jeszcze w złem utwierdzili. Ot! szkoda go; a może też, za łaską Bożą poprawi się!“

Niewesołą tę rozmowę przerwał wesoly „Śpiew górników“:

Jestem górnik tem się szczycę,
Że ma praca tak słynie,
Gdziekolwiek się myślą rzucę,
W każdej bywa krainie.

Węgla, kruszce, to skarb drogi,
Moją ręką dobyty,
Dla każdego owoc błogi,
Wszędy bywa użyty.

Choć przy pracy łożę życie,
Lecz pociechę mam z tego,
Żem potrzebny w całym świecie,
Ku wygodzie bliźniego.

Więc nucę piosnki codziennie,
Do górników patronki,
Choć pod ziemią to przyjemnie,
W pieczy świętej Barbarki.

Lampa, kilof i naboje,
Młot i świder przy boku,
Dziela ze mną wszystkie znoje,
Nie odstąpią mnie kroku.

W tyle skóra polyskuje,
Czapka z piórem na przodzie,
Gdy się górnik wymustruje,
To jak żołnierz w paradzie.

Choć przy pracy jestem czarny,
Choć mi słońce nie świeci,

Lecz mój postęp jest nie marny,
To górnika zaszczyci.

A więc „Glück auf“ szczęście nam Boże,
Niech nam serca tak czują,
Wykrzyknijmy jak kto może,
Górnicy niechaj żyją!

„Górnicy niechaj żyją“! powtarzamy trzykrotnie i podnosimy
w górę szklannice napełnione nie tylko „dobrem piwkiem“, ale
wyśmienitem piwem, którem jak tego domaga się górnoszląska piosnka
„poczęstowali nas nasi przyjaciele“.

Niechaj drogi Górny Szląsk żyje,
I język ojczysty!
Taki zawsze śpiew nasz ognisty,
Tu na to dłoń!

„A teraz co wesołego — może to o „babuleńce“ — prosi
mój towarzysz, i wnet z nieopisanym, coraz zwiększającym się hu-
morem i zapałem — rzlega się żartobliwa piosenka, nie zbyt
a raczej zupełnie co do treści głęboko nie obmyślana, ale porywa-
jąca mimowoli energiczną, nie wiedzieć, żołnierską, myśliwską czy
zbójcką melodyą:

Była babulinka
Rodu wysokiego,
Miała koziołeczka
Bardzo rozpustnego.

Hopstem dara Madaliński huha
Skoryba czara czuch czuch
Sponderemto huha!
Barabasa Mazura. i t. d. i t. d.

Co tu porabia *Madaliński* w spółce z *Barabaszem*? Nie
czas się pytać; wstajemy i na pożegnanie odzywa się znów śpiew,
tym razem rzewny, poważny:

Już się zbliżyła chwila rozstania,
Naszego wzajem dziś pożegnania,
Już się znów wszyscy porozłączamy,
Do swoich chatek już powracajmy.

Bo choć zabawa jest tu przyjemna,
Gdzie nas złączyła miłość wzajemna,
Lecz czas nam mówi, że dosyć tego,
Więc już żegnajmy jeden drugiego.

Z Bogiem! więc z Bogiem! wszyscy wołajmy
 W znaku miłości ręce ściskajmy,
 Do zobaczenia, niech nas Bóg chowa,
 To dziś ostatnie niech będą słowa.

Niech też to ostatnie będą słowa, zamykające ten opis zbyt krótkiego pobytu na szląskiej ziemi, między szląskim ludem, którego wierze i pracy, miłości Boga i bliźniego kto się przypatrzył, ten i pokochać go musiał.

Z Bogiem, z Bogiem wszyscy wołajmy,
 W znaku miłości ręce ściskajmy!

